



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgerbera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Nibyto zima, nibyto jesień, czasami niebo tak się wybłąkici i tak nieoczekiwanem ciepłem promyczek słoneczny strzeli, że ludziska w pierś swą wchłaniając, Bóg wie z kąd, przewiane cieplejsze powiewy wiatru, marzą już o wiosnie niedalekiej, o gajów zieleni, śpiewie ptaków, zakwitnięciu róż stulistnych, niemal, że nie o tajemniczym kwiatku paproci. Tymczasem jeden, drugi szary obłoczek przez niebo przepływa, coś się mąci w kotlinie niebieskiej: śnieg zimny, ostry śnieg, pędzony nigdy pogodzie nie sprzyjającym wiatrem północy, zaczyna sypać i sypać — przykrywa ziemię coraz grubszą warstwą chłodnego puchu, tehem zimnym owiewa czoła rozpalone i mrozi przedczesne marzenia o gajach zielonych, ptaków śpiewach i różach stulistnych...

Ludziska się wstrząsają:

— Brrr!.. zimno! — A jużesmy myśleli, że bociany zaklekocą i lotne jaskółki w skrzydła swe trzepną.

Złudzenia! złudzenia! złudzenia!

Smutno się robi czasami duszy człowieczej, że to życie tak krótkie, tak marne przeważnie ze złudzeń się składa, a jednak stokroć byłoby smutniej, gdyby ich całkiem nie było: Myśli poważne nie zorałyby wtedy czoła mędrca, wierzącego w zdobycie prawdy prawd; na ustach młodzieńca nie powstałby uśmiech zapału, ty — piękna pani — nie doznawałabyś tak rozkosznych drzeń serca, ja nawet z taką sumiennością nie opłacałbym kwitów w lombardach, gdybym się nie łudził, że one wrócą mi kiedyś skarby zastawione.

Więc ludzić się można, trzeba nawet, tylko niech te złudzenia nie wytrącają nas z potrzebnej

równowagi, nie wychodzą za granice możliwości; niech kieruje nimi zimny rozsądek, który, w każdym razie, potrafi utrzymać pewien stopień temperatury — przyzwoitej.

Początek bieżącego roku, jakkolwiek z pieluch zaledwie się rozwinął a już oszukał niejedno boże stworzenie. I ja i ty, pani, nie byliśmy wolni od tego lekkomyślności grzechu; każdy z nas roił o czemś, na czemś nadzieję pokładał i — ślimaka dostał. Daremno piękną potrząsasz główką, wybac, ale zaprzeczeniom twoim nie wierzę. Ty, pani, marzyłaś o balach, ja o podwyższonym honorarium literackim: mówił mi już chochlik wszędobylski, że piękną na twarz swoją przygotowałaś maseczkę, ostrzyłaś sztylciki spojrzeń, układałaś początek interesującej rozmowy, gdy lekkim dotknięciem wachlarza zatrzymasz przechodzącego mimo młodzieńca, szepcząc mu:

— Znam cię!

I cóż?

Pusto było na pierwszej maskaradzie, zawiodła cię druga, została trzecia — decydująca.

Alé o czem ona ma decydować?

Dużo o tem można byłoby powiedzieć, ale lękam się własnej wymowy i ustek twoich niechętnie skrzywionych. Zresztą, nim te słowa dojdą do ciebie już kwestya rozstrzygnięta zostanie: jeżeli ta trzecia — uda się, może zdobędziesz nie mały zapas wspomnień; jeżeli nie odróżni się w niezem od poprzedniczek swoich, to będzie dowodem, że *maskary*, jako zabytek minionych odwiecznych, dziecinnych więcej a może więcej szcześliwych czasów, coraz bardziej tracą grunt pod nogami i wdychają do szaf archiwalnych. Bo rzeczywiście w tych tłumach poprzebieranych w stroje arlekinów i królów, w tym gwarze wesołym, pustym, w dowcipach rzucanych, w pragnieniu zwiedzenia bliźnich, zaciekawieniu słówkiem lub półsłówkiem: jest tyle jakiejś pierwotnej naiwności, że dziwić się potrzeba, iż maskarady dotąd nęca urokiem jakiejś szalonej zabawy, choć

żadna nie dotrzymuje obietnic, choć po każdej zo staje rozezarowanie, zawód pięknego snu przy zetknięciu się z rzeczywistością.

— Znam cię!

— To ci się nie chwali — odpowiada Don Juan dzisiejszej doby i z obojętnością lodowatą zostawia nie wiedzącą, co ma z sobą uczynić maseczkę, która wybierała się na bal ów z wesołością trzepoczącego się ptaszka, oszukanego pięknocią malowanych drzew i kwiatów.

Ach! wieleż razy byłem świadkiem tych bolesnych zawodów, które spotkały serduszka dziewczęce. Bal — a szczególnie bal maskowy, toé to szczyt marzeń dziewczęcych, niewysłowny urok, ku któremu pociąga tajemnicza szata domina. Z niepokojem oczekuje się chwili ponętnej zabawy, z pośpiechem siada się do karety, z drżeniem serca przestępuje się próg rżęsiście oświetlonej sali. Muzyka brzmi, płyną tłumy (bo w tej chwili wspominamy o tłumach jeszcze) krzyżują się, mijają.

— A — pan Karol!.. Szepnę mu to i owo... Wybornie! — Zdziwi się z kąd o tem wiedzieć może maseczka jakaś nieznaną.

Zaszeleścił lekko wachlarz.

— Monsieur!

Pan Karol wzruszył ramionami i zniknął w tłumie...

Zbliża się pan Władysław.

— Stój!

— Nie mam czasu!..

Do bufetu się udał, wypił kieliszek „przepalanki“ ziewnął i opuścił salę.

— Bawiła-żeś się pani dobrze? pytam na dzień drugi.

— I dla czego pana nie było? zwrócono się do mnie z wyrzutem.

— A cobym ja tam robił?

— Intrygowo! abym pana...

— Nie spotkałaś chyba pani innych znajomych swoich?

Młoda osoba wzruszyła ramionami.
Rok rocznie powtarza się to samo, nadzieja, złudzenia i—rozczerowania.

Postarzeli się ludziska, a może *in illo tempore* lepiej bywało.

Nie mam więc nadziei i—na trzeci!

Nie zawodziła za to, jak dotąd, zabawa na Dynasach. Grotty lodowe, oświetlenie wspaniałe, tańce na łyżwach przy fantastycznych strojach masek — toż to powab nie mały. Ale tu znów bieda z termometrem, który zaledwie parę stopni niżej zera się opuści, zaraz do góry skacze. Odkładają więc z dnia na dzień zabawę i może wreszcie doczekają się pomyślanej chwili i — choć Dynasy nie zawiodą.

Zobaczmy, a właściwie nim pogawędka moja dzisiejsza opuści prasę—o wszystkim już wiedzieć będziemy.

Ale i udatna nawet zabawa na Dynasach nie zapełni całego karnawału, który bądź co bądź, w niezbyt powabnych zarysach konturach. Cóż będziemy robili przez ten miesiąc długi, który nam jeszcze pozostał zanim, głowy nie posypujemy popiołem? Pozostał teatr, wystawy obrazów, książki i może koncertów parę.

Teatr!...

Ach! na wspomnienie tego teatru naszego nie-dobrze mi się robi. Coraz mniej sztuk oryginalnych, coraz więcej widzimy towaru importowanego z zagranicy. Zmniejszył — że się u nas poczet dramatycznych pisarzy, czy talentów zabrakło, czy chęci do pracy na tem polu...

Éch—nie!

I talent by się znalazł i chęci by nie zbrakło—ale...

Co?

Ale—ciężko jakoś krajowej płonce przebić grubę deski teatralnej widowni, a i ty, szanowna publiczności, jakoby nie bardzo smakujesz w sztukach, gdzie flirt musi zejść na plan drugi albo nawet zupełnie za kulisy się schować, gdzie myśl poważna zmusza cię do pewnego umysłowego wysiłku, gdzie dowcip banalny, śmiech bezmyślny hen, daleko wyrzucony zostaje. Powiadają mi zatem, jakoby świadomi gustów twoich, szanowna publiczności, że w wyborze sztuk muszą się do ciebie stosować. Daremnie coś szepcesz o dramacie lub tragedyi: „Łaskawo! mówią mi interesem dla nas jest Teatr Mały.“

Prawda—tam niema nigdy pustki.—

Nie uskarża się i cyrk na nią.

Farsa, śmiech wzbudzająca, skok małpi kłowna, wytresowane psy i konie—dziwnym powabem wioną ku nam.

A ja przed chwilą mówiłem o zestarzeniu się ludzi.—

Zatem?

Popsuto nam ludzi.—

Dwie jednakże mam pociechy a obie smutne.. Pierwsza — że nie wszystko od nas zależy, a drugie—że nie lepiej dzieje się i gdzie indziej. Z Medyolony naprzykład, donoszą nam dzienniki, że dawno sezon karnawałowy był tak równie niepomysłny dla teatru: *San Carlo* w Neapolu i *Argentina* w Rzymie zostały zamknięte z powodu ciągłego niepowodzenia i artyści pozostali bez *engagement*. W teatrze *La Scala* w Medyolanie usunięto z repertuaru operę Mosseneta „Manon“. Dzienniki włoskie ubolewają nad zanikaniem wśród publiczności zamilowania do poważnej sztuki, i podczas gdy większe teatry są zamykane, mniejsze na operetkowych przedstawieniach bywają przepelnione po brzegi. Królują obecnie farsa i cyrk.

Zupełnie jak u nas.

Nie pocieszyła mnie jednak ta wiadomość, choć odrobinę małą zmniejszyła winę współbraci moich. Znam tylko jednego człowieka, który w dość dziwny pociesza się sposób, mówiąc, że nie on jeden tylko jest głupi.

Ale napisz no tragedya i pojdź z nią do dyrekcji teatrów.

— Trra—ge...

Dosyć!—

Możesz już nie wspominać ani o tytule ani o treści, a choćby prace twoje były tłumaczone na wszystkie języki, nie wyjmując chińskiego i japońskiego—„trra—ge...“ zabija ciebie.—

Tak samo się dzieje, gdy rzecz omawiasz z wydawcą.

— Bój się pan Boga, kto czyta dramat dzisiaj! Na scenę to dobrze—ale...

Na scenę?...

Ródcie się talenta, a gdy jesteście, chwytajcie skwapliwie za pióro.—

Po co?—

— Znajdzie się przecie w kantorku pusta szuflada.

— Aaal...

Przy takich warunkach poczekamy długo na drugiego Szekspira.

Tragedya zatem, która dotąd była uważana za koronę sztuki pisarskiej, musi w płaszczy własnej wielkości się otulić i cieszyć się niewielu wybranymi składającymi jej holdy. Farsa króluje, powieści, o mało stróż przy bramie kamienicy nie pisze, poezya się jeszcze kołata, i choć przebojem o żywot swój walczy. Siako tako z poezją się jeszcze obchodzimy, o jeżeli i o niej zapominamy już w części, to tylko dla tego, że już czytać poezyi zapomnieliśmy.

Od czasu do czasu kupimy rymowaną książkę, podoba się nam w niej to i to, sumiennie przeczytamy do samego końca i utwór wieszczą na bok odkładamy. Zdaje się nam, iż uczyniliśmy zadość tej wybrance bogów, że przejrzawszy kartkę po kartce, poznaliśmy już wszystkie zawarte w nich piękności.

O, nie—inaczej poezję czytać należy.

W niej nie koniecznie *treść* gra rolę przeważną, nie mało tam znaczy i *forma* i układ słów i cała ztąd wypływająca harmonja. Jak w muzyce jest poezya, tak w poezyi muzyka być musi i jak z muzyką tak i z poezją postępować powinniśmy. Mało was zadowolni odegranie raz jeden tylko pewnego mazurka Szopena, bo wiele dźwięków zginie, wiele usunęło się z pod uwagi naszej. Sprobujcie go powtórzyć raz, drugi i trzeci — a posłyszycie coś, czego przed tem nie było, jakaś odezwiwie się nowa, nie słyszana przed tem nuta. Zobaczycie całe piękno utworu wtedy dopiero, gdy go poznacie należycie, gdy nie z treści ni formy wam już obcem nie będzie.

Tak samo i z poezją, która krom muzykalności swojej jest od muzyki bogatsza myślą stokroć jaśniejszą. Ale ta harmonja słów przebrzmi niezrozumiana zupełnie, jeżeli jej nie potrafimy wydobyć.

Poezję trzeba umieć czytać.

I dla tego, gdy weźmiecie wiersz jaki, do ręki nie rzucajcie go na bok po pierwszym przejrzeniu. On wam całe piękności nie odkryje odrazu. Dźwięk pusty, po drugiem odczytaniu nie wyda wam się pustym; nie dość, że zrozumieliście myśl poety, na to dość byłoby parę wierszy prozą skreślonych — ale on tę myśl swoją ubrał w dźwięki i tony, w które wsłuchać się potrzeba, zrozumieć i odczuć. Nie lękajcie się, że raz i drugi zawód was spotka, to nie winą jest poezyi lecz waszego nieumiejętnego czytania. By ją pojąć i całą z niej piękność wydobyć, potrzeba wezwać do pomocy i myśl i głos i słuch. Jak nie umiejętnem dotknięciem klawiszów zrobicie przykrość Bethovenowi, tak piewca „Grobu Agamemnona“ wam wdzięcznym nie będzie, gdy odczytaacie ten krzyk jego duszy, modelując głos was niezdarne. Bogaetwo myśli, potęga kłątwy, może głęboko wam zapaść w serce — ale straconą dla was zostanie muzykalna piękność tej pieśni, to rwanie się strum arfianych targanych dłońią zboląłego piewcy. Nie przeczytać, lecz wczuć się potrzeba w każdą pieśń, którą przed wami wieszcz rzuca, ażeby zrozumieć poezją, poznać jej subtelności wszystkie, piękno całe zawarte w formie i myśli.

Myśl i forma stoją prawie na równi w poezyi — lecz forma być zawsze doskonałą musi, podczas gdy myśli głębszej może brakować w wierszu. Poeta opisuje wam naprzykład wieczór majowy i nie nadto. Cóż zyskacie po przeczytaniu raz jeden tylko podobnego utworu? Sto razy wam już opisywano te piękności nocy wiosennych. Ten tylko innych nieco a ten innych barw użył, odkładacie więc wiersz na bok.

Poczekajcie!

Tu nie o żadną myśl chodzi, której w obrazku tylko opisowym daremno byście szukali. Dostrzeżliście doskonale malowidło, wshodzący księżyc

rozpędził zmierzch przedwieczorny, rozlał się światłem srebrnym na staw, pola i gaje.

To nie dość!..

Wczytajcie się uważnie raz, drugi i trzeci — a odezwa się pluski fal sennych, posłyszycie szelest wiatru, kwiatów woń poczujecie, pieśń wieczoru dziwną wam muzyką zagra.

Zkąd czar ten?

Poeta dobrał wyrazy, rymy poplątał, czasem rytm zmienił i nie mówi już do was, lecz gra i śpiewa.

Zrozumieliście go?

Już jestem spokojny: dawniej *czytaliście* tylko, teraz *rozkoszujecie* się, odnajdując w danym utworze coraz nowe piękności. Tam nmysł wasz był zajęty, tu harmonja słów wiała wam czar do duszy, bo tysiąc takich rzeczy widzieliście, ale teraz poeta je wam — wyspiewał.

Skarżą się panowie wydawcy, że nikt dziś poezyi nie czyta. Wierzymy im na słowo. Lecz to nie mówi o przeżyciu się jej — tylko naszej nieumiejętności czytania. Posłuchajcie rady mojej, a kilka jasnych blasków w życiu wam przybędzie.

I zkąd mi się wzięło do napisania tych słów, spytaacie?

Ot, tak było:

Na pewnem wieczornem przyjęciu mówiono o poezyi. Sliczna sąsiadka moja czytała wiersze prawie wszystkie. Wspomniałem o jednym, który wydał mi się niezwykle pięknym, przypomnieć go jednak sobie nie umiała — więc powiedziałem jej ustępów parę.

— A — przypominam teraz.

Poprosiłem o zdanie.

— Taaak... odpowiedziano przeciągle.

Poprosiłem o wyraźniejsze zdanie.

— Mało treściwy — dodała piękna pani.

— To prawda — rzekłem. Lecz czy pani zwróciła uwagę na muzykalność wiersza?..

— Przczytałam go raz jeden.

— Pozwoli pani powtórzyć?..

— Proszę.

Słuchała z wielkiem zajęciem.

— Jest sliczny!

Powiedziałem raz jeszcze.

— Prześliczny — zawołała.

Odnalazła wiersz, o którym mówiliśmy i odczytała go już sama raz i drugi.

— A wie pan, że nie umiemy czytać wierszy — zwróciła się po chwili do mnie.

Zaprzeczyć nie mogłem — i — obiecałem napisać coś o tem.

W dziwnych żyjemy czasach, czasach trwogi jakiejś, niepewności i oczekiwań. Coś się popsulo w machinie świata i ani rusz jej powrwać. Od czasu więc do czasu pojawiają się jakieś dziwotwory, o których nie wiemy sami co sądzić i musimy przyjść do przekonania, że, albo rzeczywiście stoimy na granicy jakichś niezwykłych odkryć, albo — jakiegoś szalone kłamstwo zawisło nad nami, a genialni kuglarze, obalamucują umysły mądrością przytłoczone.

Od czasu sławnych doświadczeń z p. Eusapią Palladino u nas, zdawało się, że sprawa medyumizmu na dłuższy czas, u nas przynajmniej, przycichła. Dwa przeciwne obozy starły się z sobą, lecz pomimo zaciętej walki, bój wcale roztrzygnięty nie został. Jedni i drudzy wprawdzie przypisywali sobie zwycięstwo, ale bezstronny obserwator tryumfatora nie widział. Przeciwnicy jednak nie zasypiali sprawy: Eusapiści szukali nowych objawów, ich przeciwnicy dowodów oszukaństwa. Pojawieniu się niezwykłego medyum w Płoskirowie, odpowiedziano zdemaskowaniem miss Williams w Paryżu i to przez jednego ze zwolenników spirytyzmu, aż oto znów, na gruncie naszym, staje się rzecz, na którą powinni zwrócić uwagę zajmujący się tą sprawą.

Zdaje się, że słuchamy bajkę jedną z Tysiąca Nocy — a jednak wypadek stał się nie za siedmiu rzekami i dziesięcią górami lecz w powiecie opoczyńskim, gubernii radomskiej, we dworze w Komorowie. Korespondent pisma jednego a świadek naoczny tak rzecz opisuje:

Niedawno zebrało się liczne towarzystwo z sąsiedztwa i stron dalszych. Ożywiona gawęda zeszła na temat spirytyzmu. Więc p. Michał Szydłowski jał opowiadać o różnych medyumistycznych doświadczeniach, o zjeździe spirytystów

w Berlinie, dokąd jeździł w r. z. — czem obecnych zaciekał tak dalece, iż poproszono go o dokonanie jakiego seansu.

— Z ochotą rzekł — będzie to zjawisko z przenikalnością materii podczas snu hypnotycznego w fazie katalepsy.

Wszyscy goście przeszli do oddzielnego salonu dobrze oświetlonego. Wprowadzono doń 20-letniego chłopka, Franciszka Pieszcyka, wybranego przez towarzystwo. Obecny dr. L. po zbadaniu uznał go za zupełnie zdrowego. Przyniesiono długi, płócienny worek. W obecności kontroli wsadzono weń P. poczem zawiązano worek silnie, opieczęto i położono na znak na sofie. P. S. zbliżył się do leżącego w worku P. zrobił kilkanaście nad nim w powietrzu passów, a po chwili ciało jego zaczęło się wyprężać i doszło do stężenia (katalepsy).

Następnie pan S. objawił nam, że na żądanie dany osobnik przez elektryzację przenikać może nie tylko worek, w którym jest umieszczony, ale nawet ściany domu. Pozostawiwszy tedy przy zahypnotyzowanym dwóch kontrolerów, P. S. poprosił resztę towarzystwa do sąsiedniego salonu, również dobrze oświetlonego. Tutaj na terrakotowej posadzce (ważny szczegół) postawiono duży, drewniany kufel, obejrzany przez nas dokładnie i zamknięto na klucz. Na kufel usiadł doktor L. reszta zaś osób w około kufra. Drzwi pomiędzy salonami zamknięto na klucz.

Zapanowała cisza. P. S. począł robić wywołanie od drzwi w kierunku kufra. Po upływie niespełna pięciu minut kontrolerzy zahypnotyzowanego z wielkim przestrawem poczeli dobijać się do drzwi, a gdy je otworzono, oznajmili o zniknięciu P. z nierozwiązanego worka. Wówczas p. S. przezrążliwym trzykrotnym świstem nakazał zeteryzowanemu niewidzialnemu zmateryalizować się w kufel.

Nagle usłyszeliśmy silne stuknięcie w kufel, a po otworzeniu go ukazał się na dnie zahypnotyzowany, przed chwilą zawiązany w worku P.—Dr. L. zaraz zeznał, iż uczył pod sobą lekkie drganie kufra.

Wkrótce p. S. pogrążonego we śnie Pieszcyka przywrócił do przytomności.

Tyle widziałem i z tego zdaje sprawę — kończy pan korespondent radomski, podpisujący się *Emer.*

Czy coś podobnego pokazała nam pani Eusapia, której „meno luce“ niejednego w podejrzenie wprowadzała? Gdybyśmy podobny fakt odnaleźli zapisany w jakiejś księdze z w. XIV-go — zdumieliśmy się nad naiwnością ówczesnych ludzi, dających bredniom podobnym wiarę. A jednak to było, u nas, w naszym rozumnym wieku, w powiecie opoczyńskim.

Co o tem sądzić—?

Wierzyć—

Człek wrusza ramionami.

Wątpić?

A skąd prawo zadawać fałsz ludziom poważnym, którzy dziw ów na własne oczy widzieli?

Mamy przed sobą albo jakąś niezbadaną jeszcze wielką prawdę, albo piekielne kłamstwo.

Rzuciłbym tu jedno tylko pytanie:

Czy bez zamknięcia w worku nie *mógłby* dany osobnik zdematerializować się, i czy nie mógłby powrócić do swojej pierwotnej postaci *bez kufra*, lecz w obecności patrzących na to dziwne zjawisko ludzi?—Zniknięcie i zjawienie się wprost przed oczyma mojemi—przekonać by mię mogło, znikania zaś z worków (mimo największej kontroli) świstania (po co to?) i materyalizowanie się w kufel—bądź co bądź, nasuwa pewne wątpliwości.—Nasi panowie spirytyści powinni z p. Szydłowskim zapoznać się i rzecz całą, ciekawą niezwykle—do gruntu zbadać.

Z spraw bieżących miasta i kraju naszego, mamy do zanotowania faktów parę. Nieobojętą będzie wiadomość, że na tegoroczne Zielone Święta, wybiera się do naszej Częstochowy liczna kompania wiedeńczyków, dla złożenia hołdu Najświętszej Pannie na Jasnej Górze. Na czele pątników staje pan Schermann, wiedeńczyk i do granicy koleją, a od granicy piechotą udadzą się nabożni do miejsca słynącego cudami.

Z dziedziny pracy niewieściej, mamy równie nowosć pożądaną. Pani Marya Borkowska założyła „Szkołę fotograficzną dla kobiet“. Nowy zakład

uzupełni braki, a prowadzony ręką umiejętną, niejednej istocie pozbawionej środków do życia, da możliwość dobrego nawet utrzymania się. Od chwili, gdy fotografia zaczęła zyskiwać coraz szersze zastosowanie w różnych gałęziach wiedzy, jak i przemysłu, do tej nauki zaczęły się garnąć kobiety a popyt na udoskonalone fotografistki, staje się tak wielki, że tych ostatnich zabrakło nawet. Dobre retuszerki zaangażowane z warszawskich fotografii do różnych gubernij cesarstwa otrzymywały od 80 do 100 rs. a częstokroć i więcej miesięcznego wynagrodzenia. Cały kurs w szkole p. Borkowskiej trwa 5 miesięcy, opłata wynosi 8 rs. miesięcznie. Dotychczas uczennice zapisało się 14-cie, które na lekcjach zbiorowych od godziny 11 do 1 po południu uczą się kolejno retuszowania na szkle i papierze, kolorowania fotografii, roboty heliominiatur i t. d.

W POMROCE.

Zgorzycą rzuciłem gniazdo
Rodzinne moje...

Tyś była przewodnią gwiazdą

Wśród mroków, przebytych już,

I piersi strudzone moje

W pancerz odziałas, dziewczyno,

Z konwalii, gwoździków, róż...

Byłas mi rajska ptaszyną,

Kwiatem paproci,

Co blaskiem precudnym złości,

Poważnie szumiący las,

Byłas mi szczęściem w pomroce,

W majowe odkrytem noce,

Tem szczęściem, co kwitnie raz.

Gdy odleciałas odemnie,

Jak mara senna,

Łez nie wylewam daremnie.

Choć duszę nią szarpie ból...

Szarpie ją rozpacz bezdena,

Więc błędę z troską na czole

Wśród dzikich zarośli, pól.

I pod strzeliste topole,

Wierzbę płaczącą

Chodzę z modlitwą gorącą

I głowę wspieram o głaz.

Szum wiatru słyhać daleki.

Ja myślę, czy los na wieki,

Na wieki rozłączył nas...

Selim.

DZIAŁALNOŚĆ KOBIETY POD WZGLĘDEM ETYCZNYM.

(Dokończenie).

Jeśli dziecinna wesołość, serdeczne, niewymuszone — zachowanie, to jest prosta naturalność u młodych osób zachwyca, wrusza nas, jak ciepły, wiosenny promień słońca, to z drugiej strony, naganne jest, a przykre dla przyjaciela ludzkości, zwykłe zachowanie się w naszych czasach większej części panien.

Jak trudno dostrzedz dziś w gronie młodzieży ową serdeczną nutę naiwnego oddźwięku duchowe-

go życia i swobody ruchu, słowem te czynniki, które opromieniają nasze życie, i przyczyniają się do szczęścia, a zarazem są najpotężniejszą bronią, przeciw niebezpieczeństwu i pokusie.

Wszystko jest teraz wymęczone i zrobione; każda młoda osoba obserwuje zachowanie się innej, i stara się o to aby żaden objaw serdeczniejszy i samodzielny nie odróżnił jej od towarzyszek. Również daje się zauważyć brak prawdziwej uprzejmości, tej nieprzymuszonej „uprzejmości serca“, która czaruje swym wdziękiem, i zobowiązuje każdego.

Nieubłagana statystyka dowodzi, że z roku na rok zmniejsza się ilość zawieranych związków małżeńskich. Fakt ten stoi niezawodnie w związku z poprzednim orzeczeniem, a jakkolwiek nie jest on pocieszającym, ma tę dobrą stronę, że rozwija w kobiecie dążność i usilną wytrwałość do powiększenia swej zdolności zarobkowania.

Natomiast jeżeli się powiedzie za pomocą zmiany metody wychowawczej, której hasłem ma być: „natura i prawda“ sprowadzić napowrót do domowego ogniska wyrugowane bóstwa, a z nimi wesoły umysł, naturalność, wdzięk i szczere uczucie, wówczas statystyka innemi cyframi przemawiać do nas będzie.

Nie wątpimy jednak, że praktyczny rozwój tych prawdziwie kobiecych zalet serca i duszy, leżących po części w naturze kobiety, napotkać musi niemałą wagę trudności. Uczucia, szlachetne porywy i dążenia, wzbudzić w człowieku bezpośrednio, jest prawie niepodobniestwem. Przy kształceniu umysłu można dziecku wyjaśnić wprost, lub przynajmniej uprzystępnąć wiele wyobrażeń i pojęć; kształcenie duszy i serca wyklucza prawie zupełnie takie bezpośrednie wpływy za pomocą zmysłów, a skutecznie oddziaływać na charakter można tylko za pomocą właściwych przykładów i wzorów. Z wykładanych dotychczas w szkołach przedmiotów zaliczamy do czynników wysokiej wartości przy kształceniu charakteru: naukę religii, historię, przyrodznawstwo, a przedewszystkiem uważne czytanie dzieł znakomitych pisarzy, i staranny ich rozbiór; jeśli obieujemy sobie i słusznie wiele dobrego dla duszy i serca przyszłego pokolenia, przy kształceniu młodzieży w kierunku etycznym, w takim razie sądząc z nabytego doświadczenia, położony silny nacisk przy wychowaniu dziewcząt, na staranniejszy wybór uczących, a przedewszystkiem na zalety osoby kierującej zakładem naukowym żeńskim.

Dzisiaj po największej części córka zamożnych rodziców, kończąca pensję, oddaje się przeważnie rozrywkom, lub zajęciom dla przyjemności, czytaniu romansów, grze na fortepianie, i t. p., a w najlepszym razie niesie mniej lub więcej chętną pomoc w domowym gospodarstwie. Tymczasem, gdzie tylko na to pozwalają okoliczności, powinna uczyć się pod kierunkiem matki brać udział w tych sprawach, czynnościach, które służą do łagodzenia społecznej nędzy, i czynią mniej dotkliwymi wszelkie troski i bóle życia, a zarazem wyrównać mogą klasowe sprzeczności.

W ostatnich czasach kobiety wzięły udział, co jest godne uznania, w tak zwanych ludowych pogadankach, których celem jest za pomocą wykładów i przedstawień uprzystępnąć niższemu klasom zupełnie zamknięte dotąd dla ogółu pole sztuki nauki i literatury. Jeżeli na tych pogadankach wieczornych, rzucających technicznie piękna, znajdzie się dobry i stosowny wybór przedmiotów, mogących wpłynąć poważnie na uczucia niższych warstw, i zapatrywanie się ich na życie, wtedy mogą one wydać plon bogaty.

Lecz wiele zależy od tego, aby dać poznać upośledzonym od losu, że się ma ucziwy zamiar zbliżyć się do nich w życiu, przyciągnąć ich do siebie, i pojednać, o ile to jest w naszej mocy, z ich położeniem.

Jeżeli ograniczymy się tylko na tem, że pewnego wieczoru zaśpiewamy im co, zagramy lub przeczytamy, to taka ofiara będzie bez celu, gdyż idzie tu o poważne i trwałe poświęcenie się na usługi dla dobra ogółu, a nie o pojedynczo przypadkowe popisy pod pozorem ogólnego dobra.

Jednakże na tem nie kończy się zakres kobiecego współdziałania w usługach cierpiącej i potrzebującej ludzkości. Niedawno w stolicy Niemiec zawiązało się, pod kierunkiem pani Kirschner, kółko szlachetnie myślących osób, w celu obznajmiania

pań i panien, bogatej sfery, z poważnymi dążeniami zadań życia w usługach ludzkości, i pracą pełną poświęcenia; w tym kierunku siły starszych i młodszych kobiet, mają tu być spożytkowane, stosownie do ich skłonności i zdolności, przy pielęgnowaniu chorych i sierot, przy różnych dobroczynnych sprawach i kształceniu popularnym. Rozumne odczyty o społeczeństwie, gospodarskich, i hygienicznych kwestjach, mają służyć do rozjaśnienia tych zadań i zamiarów, i zjednać chętnych do współudziału. Opublikowane wezwania głosi: Gospodarski i kulturalny stan nędzy w licznych ludowych sferach państwa, zwiększająca się niechęć wśród szerokiej kół ludu, wzywają także kobietę do społecznej czynnej pomocy. Nie należy dłużej zapominać o tem, że właśnie kobiety, panie i panny z bogatych sfer, niejednokrotnie ciężko zawiniły, przyczyniając się do wzrostu swej niechęci, przez brak zainteresowania się, zrozumienia poglądów i wrażeń klas biednych, przez brak osobistego stosunku z ludem.

Szerzej i śmielej trudno wyznać to, w czem się zawiniło dotąd przez obojętność, i dlatego można mieć nadzieję, że ten krok ważny, wynikający z głębokiej rozważki i miłości bliźniego przyniesie pożytek, poruszy obojętnych, leniwych i opieszłych, wszędzie znajdzie uznanie i naśladowanie. Bieda, ucisk i ciemnota jest wszędzie, należy więc stosownie do potrzeby umiejętnie skierować odpowiednio środki.

Byłoby niesprawiedliwością, upatrywać w tych szlachetnych dążeniach jakichkolwiek wybryków emancypacyi; idzie tu o praktyczną próbę wprowadzenia w czyn tego, co w pojęciu oddawna już istniało, a przedewszystkiem, o zachęcenie do pożytecznej pracy na usługi społeczeństwa, młodych mężatek i panien, które dotąd nie przywykły czasu swego poświęcać poważnym sprawom. Zniknie może wówczas nuda, zniechęcenie, rozstrój nerwów, a na niejednej twarzy zekwitnie rumieniec.

Warto pomyśleć nad tem, łaskawe czytelniczki, i pójść śladem rzuconych tu myśli, aby odwrócić groźne widmo, ukazujące się nam dziś tylko zdaleka.

Będzie to bezwątpienia najszczytniejsza, najszlachetniejsza działalność kobieca.

E. F.

BLUSZCZ

OBRAZEK Z ŻYCIA RODZINY

przez

Maryana Gawalewicz.

(Dalszy ciąg).

Walery zaczął na nowo żartować i dowcipkować. Odcinał się Stasi, która robiła mu przymówki, pochlebiał babuni Lidzkiej, starając się być dla niej nagle bardzo uprzejmym i nadskakującym, zaczepiał żonę, a od czasu do czasu pytał ją:

— Cóżes ty tak zeszytniała nagle?... co ci jest?... ciągle ten włos wisi ci na nosku. Dajże pokój raz; wypijmy lepiej zdrowie mamy. Niech żyje pani Grosiecka!...

Toast ten rozruszał trochę całe towarzystwo; zaczęto się trącać kieliszkami, dzieci cisnęły się do babki, aby ją w rękę ucałować, powtarzając za ojcem:

— Niech żyje pani Grosiecka! — i śmiały się zadowolone z tego, że im wolno było puste kieliszki zabrać ze stołu; udawały, że duszkami piją za zdrowie pani Grosieckiej.

Nero skakał dokoła stołu i szczekał, co odwróciło do reszty uwagę od drażliwego przedmiotu i dalszego dochodzenia, z kądem się wziął ów podejrzany włos przy fijołkach.

Wicunia jednak nie przestawała o nim myśleć.

Przewlekl on się, jak nitka bez końca przez sam środek jej mózgu i tkwił tam ciągle.

— Która to być może? — zadawała sobie pytanie. — brunetka jakaś, ale która?...

Trzeba być kobietą, kobietą kochającą, żoną męża, o którego się jest zazdrosną, aby zrozumieć, ile spustoszenia taka jedna podejrzliwa myśl zrobić może w głowie i sereu, ile taki niejasny domysł gorszym i dokuczliwszym bywa od wszelkiej pewności.

Już nie chodzi o stwierdzenie samego faktu, nie chodzi o to, czy jest jaka rzeczywistość, która tego kochanego mężczyznę zabiera kobiecie, tylko chodzi o to, która to?... ta czy tamta, czy inna?... która?...

A wtedy każda wydaje się podejrzaną, jeżeli nie ma wyraźniejszych poszlak.

Wicunia przynajmniej wiedziała, że ta jakaś, co fijołkami kusi jej męża, od której grozi jej niebezpieczeństwo, ma długie, czarne włosy, jest brunetką a ten jeden szczegół wystarczał do wysnuwania dalszych wniosków.

A więc mówiła sobie, że ta jakaś musi mieć oczy ciemne, pewnie błyszczące, jak węgle, pleć może śniadą, taką, która to mężczyznę nęci i podrażnia najbardziej, musi być zalotną i sprytną, skoro się zdobywa na takie pomysły, jak związywanie kwiatów swemi włosami...

W ten sposób malowała sobie przypuszczalny wizerunek swojej rywalki i jedno najwięcej w tem wszystkim jej dokuczało, że ta jakaś, ta druga, ta niepocziwa, która jej Walerka zabiera, musi być całkiem odmienną od niej, musi być żywym jej kontrastem, bo inaczej nie podobałaby się zapewne Walerkowi.

Po cóżby mu się miała podobać, gdyby była do niej podobną?... w takim razie przecież nie potrzebowałby żony zdradzać.

Z tą naiwną logiką kobiety instynktami odczuwającej jedynie wszystko, tłumaczyła sobie jak najgorzej wypadek, który zdradził jej w szóstą rocznicę ślubu tajemnicę męża.

— Ze też to akuratnie dzisiaj musiało mnie spotkać! — mówiła sobie w duchu, żal mając do losu za taką niespodziankę nie w porę.

Próbowała jednak pokrywać w sobie tę wewnętrzną rozterkę, która rosła w niej z każdą chwilą.

Udawała nawet, że się uśmiecha i że słucha z uwagą opowiadania Walerka o jakimś nowym skandalu z high-lif'u, którem się całe miasto miało zajmować.

— No i wyobraźcie sobie, — mówił w dalszym ciągu Grosiecki, — w zesłym tygodniu wraca on znowu do domu coś nad ranem z klubu czy skądś i zastaje jej łóżko puste. W pierwszej chwili nie zwrócił na to uwagi; myślał, że wyjechała gdzieś na wieczór, albo została u siostry i jeszcze nie powróciła. Zaczyna się rozbierać i spostrzega na nocnym stoliku swoim list jakiś. Patrzy... pismo żony na kopercie. Ale mu nie pilno było go przeczytać. Rozbiera się w dalszym ciągu, zapala papierosa, kładzie do łóżka i powoli, najspokojniej rozrywa dopiero kopertę i zaczyna czytać...

— A to miły małżonek! — przerwała z oburzeniem Stasia.

— Czekaj, nie koniec na tem!... Przeczytał cały list, w którym mu żona donosi, że nie może dłużej znieść tego, aby ją tak ciągle zaniedbywał, włóczył się po nocach, grywał w karty, i t. d. i t. d., więc porzucił go i przenosi się do matki, zostawiając mu zupełną wolność. Hrabia skończył czytać, zamyslił się i wiece co zrobił?...

— No, wyskoczył z łóżka, ubrał się i pojechał jak najszybciej po żonę! — odezwała się babunia Lidzka, — coż innego miał zrobić?...

— Otóż widzi babunia, że nie, bo złożył list, rzucił go najubożniej w świecie napowrót na stolik, zgasił świecę, przykrył się kołdrą i zasnął.

— Co?... co?... — zawołały zgorszzone obie babki i Stasia, — ależ to szkaradnie!... to człowiek jakiś bez sereal!... jakżeż można!...

Grosiecki się śmiał i po chwili kończył swoje opowiadanie.

— Ale co najzabawniejsze w tem wszystkim, że hrabina na własne oczy wszystko to sama widziała.

— Jaki?... z kądem?... gdzie?...

— A no, bo się schowała za kotarę i z drugiego pokoju przypatrywała się mężowi, urządziwszy mu takiego figla na próbę. Chciała się przekonać, jak on przyjmie wiadomość o tem, że go porzuci. Na-

piśla list, zostawiła mu go przy łóżku a sama się schowała i dopiero zobaczywszy, że go to nie a nie nie obeszło, zarzuciła futro na siebie i wypadła, jak bomba z furą. To dopiero zdecydowało ją ostatecznie i oburzyło, że się na śmieszność naraziła, więc odjechała na prawdę i teraz mają się podać o seperacyę. A co?... nie zabawna historia, prawda?... Cała Warszawa dziś o tem mówi i wszyscy się śmieją...

— Z hrabięką chyba? — wtrąciła Stasia.

— Nie, z hrabiny, — odparł, dzieląc widocznie zdanie opinii; — dlaczegożby z niego? Przyznasz moja droga, że w tym wypadku śmieszna jest żona, która udaje, że męża porzuciła; bo albo się to robi, albo się nie robi. Jeśli się robi, to na seryo, a jeśli się nie ma zamiaru, to się nie strasz napróżno. Mojem zdaniem, hrabia jest w porządku.

Mówił to, śmiejąc się, jakby przyznawał mu rację dla poirytowania swoich słuchaczek.

Wicunia przez cały czas wpatrywała się w twarz męża, jakby z niej odgadnąć usiłowała, co właściwie myśli i po czyjej stronie stoi.

— Kto to był taki? — spytała siostrę, bo nie zważając na początek opowiadania, nie słyszała nazwiska.

— Trajewski, — odrzekła Stasia.

— Jaki?... ten, co się niedawno ożenił z hrabianką Połońską?...

— A ten; piękny Turcio Trajewski.

— I już się rozehodzą?...

— Zyli z sobą cztery lata, — zauważył Grosiecki.

— To już tak dużo? — spytała, jakby z wyrzutem w głosie i zasepiła czoło jakąś niedobrą myślą.

Żal jej było tej biednej Trajewskiej, którą znała tylko z widzenia, jak ją znało całe miasto, ale miała dla niej w tej chwili jakieś głębokie współczucie i szczerą sympatyę.

Byłaby stanęła w jej obronie, ale nie mogła czegoś odezwać się do męża; czuła, że głos jej drży i że ją coś za gardło ścisła, ilekroć chciała do niego przemówić.

Chciała mu tylko powiedzieć, że gdyby była na miejscu Trajewskiej, to nie pisałaby ani słówka, nie opowiadała się nikomu, tylko by poszła, nie odwracając się poza siebie i niechby tam nie wiedzieć co się z nim stało!...

W tem usposobieniu, w jakim była dzisiaj, wydawało się jej, że potrafiłaby być zawziętą, energiczną, nieubłaganą, okrutną, w obronie swoich praw i swego honoru; o tak, porzuciłaby, porzuciła z pewnością, bez pardonu, nie chowałaby się za kotarę, nie podglądała, jak on to przyjmie, nieby ją to w takiej chwili nie obchodziło!... i nie wróciłaby już do niego za nic w świecie, chyba... chyba, gdyby mu się co złego stało, gdyby zachorował przypadkiem, albo był bardzo smutnym czego, albo coś w tym rodzaju, ale inaczej!...

— Nie, nie, po co ja o tem myślę! — przerywała sobie, zmuszając się do odwrócenia uwagi od przedmiotu, który jak włos drażnił ciągle jej nerwy i jej sereę.

O!... znowu ten włos, znowu te same przypomnienia, nawet porównania nasuwały się jej analogiczne z tym wypadkiem, który przy obiedzie ją tak z równowagi wyprowadził.

Drażniła ją jednak obecność ludzi, chciałyby się była już pozbyć ich wszystkich, byle zostać sam na sam z Walerkiem i ze swojemi wątpliwościami; ale babunia Lidzka zaczęła kłaść ulubionego swego pasyansa pod wiszącą lampą w stołowym pokoju a mama Grosiecka z Tatusiem zasiadła grać w loteryjkę o czekoladki.

Walerek zaś poszedł do salonu położyć się trochę, bo mu się po obiedzie zdrzemnąć chciało.

Przed zaśnięciem kazał służącej przygotować dla siebie smocking i lakierki na wieczór.

— Jaki, wyjdiesz dziś jeszcze? — zagadnęła go żona.

— Wyjdę, około ósmej dopiero, — odpowiedział jej, ziewając.

— Nie zostaniesz dziś w domu?

— Dlaczegoż dziś właśnie?... Ach!... prawda, ciągle mi się wydaje, że to dopiero jutro siódmego. Trudno, moje dziecko, przyrzekłem i muszę dotrzymać, ale może... wróć wcześniej, jak cię kocham.

Wyciągnął do niej rękę, chcąc ją ująć za suknię, gdy obok niego przechodziła.

— No, pocałuj męża, w rocznicę ślubu!... prędko! Odsunęła się od niego szybko i już we drzwiach odpowiedziała:

— Ja nie mam czarnych włosów.

Było jakieś dziecięce nadąsanie i żal w jej głosie, i uraza ukryta, która się mimo jej woli odezwała w tych słowach.

Leniwie poruszył ręką w powietrzu i mruknął, ziewając powtórnie:

— Nie, to nie.

Kiedy się obudził z swej poobiedniej drzemki, było już około siódmej; zastanowiła go cisza w całym domu.

Wstał, przeciągnął się i wyszedł z salonu.

W stołowym pokoju świeciła się lampa, w dzieciurniku zaś było ciemno i cicho.

Na stole znalazł lusterko swoje, świeży kołnierzyk, mankiety, krawat czarny, na krześle cały garnitur wyczyszczony i przygotowany do przebrania się.

Wodę w miednicy, ręcznik i lakierki zastał na swoim miejscu. Zabrał się tedy do robienia toalety, nie zaglądawszy nawet do sąsiedniego pokoju, by zobaczyć, co robią dzieci i gdzie jest żona.

Jakoś mu to na myśl nie przyszło; dopiero wyświeżony i wystrojony, ułożywszy starannie wąsy w lusterku i kokieteryjnie skręcony kosmyk włosów, niby to od niechcenia spadający na czoło, zaczął szukać chustki do nosa i ta chustka przypominała mu dopiero Wiedeń.

— Ach, mój Boże!— zaczął wyrzekać sam przed sobą; — nigdy nie mam wszystkiego, co mi potrzeba!... Przy każdym ubieraniu ta sama historia. O wszystko prosz, o wszystkim przypominaj!...

Irytował się już, bo klucza przy szafce z bielizną nie było.

— Wicuniu!... gdzieżes ty znowu znalazła?... słyszysz przecie, że szukam chustki do nosa...

Chodził po pokoju, potracał meble, ciskał na ziemię, co mu pod rękę popadło, zły, że musi czas tracić napróżno.

Śpieszno mu było na oznaczoną godzinę wyjść z domu.

Zadzwoił na służącą.

— Chustkę mi podaj!... pani wyszła?

— Nie.

— A gdzież jest?...

— Pewnie w pokoju u dzieci.

Poszedł tam i rozglądać się zaczął.

Pokój dziecięcy oświetlony był tylko małą lampką olejną z knotkiem, wiszącą przed obrazem Matki Boskiej.

W cieniu trudno mu było dostrzedz cośkolwiek; potarł zapalną, aby zapalić świecę i przy jej blasku dojrzał żonę, siedzącą na otomanie, otuloną pledem, mającą przy sobie z jednej strony uśpionego Tatusia, z drugiej Munię.

U łona trzymała malutką Polę, która smacznie zasnęła w objęciach matki.

Siedziała tak, jak wcielenie macierzyństwa i nie poruszyła się nawet, choć ją ofuknął:

— Wołam, złościsz się, a ty się nie odzywasz!...

Przywykłe do ciemności jej oczy razili blask nagły zapalonej świecy, więc odwróciła głowę i spytała:

— Czego chcesz?...

— Chustkę mi daj do nosa!

— Leży na stole przy pudełku z krawatami.

Zawrócił się i chciał wyjść, ale go zastanowił jej suchy dźwięk głosu i wyraz fizjonomii.

— Cóż ci jest?... jeszcze jesteś skrzywiona, jak środa na piątek?...

Nie odpowiadała mu, choć stał przed nią i świecił jej w same oczy.

— Aj, ty, ty!... mogłabyś się też oduczyć tych swoich nieszczęśliwych min; dalibóg, świat się przykrzy, patrząc na ciebie. No, co ci jest?... słaba jesteś?...

Zaprzeczyła niemym ruchem głowy, nie patrząc wcale na niego.

Postawił lichtarz na stoliku przy oknie i przysiadł się do niej na chwilę, wyjąwszy z kieszeni pilniczek do paznogi.

— Przez cały obiad byłaś dzisiaj już jakaś taka, — mówił, oglądając sobie palce jeden za drugim, — że cię poznać nie mogłem. Bóg wie, co sobie babka musiała pomyśleć!... No, powiedz... co ci się stało?... nie męcz mnie, wiesz, że tego nie lubię!

Nastroił głos na ton czułości i niby do dziecka zaczął pieszczotliwie do niej przemawiać:

— No, Wita!... Witusia, Witunia, no powiedz-że raz, czemuś taka nadąsana?... czemu robisz taki dziób wyduńczony, gniewasz się o co?... na mnie, na mężusia się gniewasz? Czyżbym ja co przeszkrobał?... Moje dziecko, dajże pokój, nie przypuszczaj sobie żadnych urojeń do głowy!...

Wdzięczył się do niej, jakby odbywał próbę ze sceny liryczno-komicznej, nie przestając przy tem czyścić swoich paznogi, opiłowanych w kształt migdałów.

Uśmiechając się, odsłaniał umyślnie szereg swoich białych, równych zębów, które pod czarnym wąsem wydawały się weale efektownie i zbliżając swe usta do jej twarzy tak, że oddech jego ciepły czuć mogła, zanucił początek jakiejś śpiewki:

— Porzuc minkę nadąsaną, bo ci z dąsem źle, kochałaś mnie jeszcze rano, a wieczorem nie?... — Na dobranoc pieśń ci nęcę, pieśń z nie wielu słów, jutro rano gdy powrócę—wróci miłość znów!...

Starał się swojemu głosowi nadać tę słodycz i miękkość, którą umiał czarować ją za czasów kawalerskich i upajał się sam brzmieniem swego głosu, a potem nagle wycisnął jej całusa na czole i zerwał się szybkim, zgrabnym ruchem Figara, mówiąc:

— Ale ja się z tobą bałamucę, a tam na mnie czekają!...

— Gdzie?—zagađnęła go, po raz pierwszy otworzywszy usta; na chwilę pod wpływem jego słów, głosu, piosenki zanucanej i pocałunku, zapomniała o urazie, jaką czuła do niego, pierzchnęły jej z myśli wszystkie przypuszczenia, z serca podejrzliwość i smutki, kochała go znowu jak przedtem i zdało się jej, że miała tylko brzydki sen, w którym coś jej się uroiło o jakiejś tam drugiej... o czarnym włosie, o fijołkach i o jego niestałości.

— Gdzie?—powtórzyła, przytrzymując go za rękaw i spoglądając na niego oczyma pełnymi miłości i dobroci.

— Jakto gdzie?... nie mówiłem ci, że idę na próbę...

— Na jaką próbę?... nie nie mówiłeś o próbie.

— Doprawdy?... patrzaj!... zupełnie dziś głowę tracę. Urządzam koncert na biedne szwaczki, prosiła mnie o to Blauowa i jeszcze dwie panie,—czy być może, żebyś mi o tem nie wspominała?...

— I tak się wystroiłeś na próbę?...

Spojrzała znowu z niedowierzaniem na niego.

— Bo to u Blauów dzisiaj niby próba, a niby sesja, niby raut, wszystko razem,—tłumaczył jej szybko, zobaczywszy na zegarku, że już tylko pięciu minut brakuje do ósmej.

Rozbudzone dzieci pootwierały oczy a Pola zaczęła płakać.

Wicunia wstała i ułożyła swoje najmłodsze w łóżeczku a sama poszła za mężem, który w przedpokoju nakładał już kalosze na nogi.

— Ale czy ty prawdę mi mówisz? — spytała go cichutko, wieszając mu się u ramienia i patrząc mu po cieżwie a badawczo w oczy; — czy ty tylko znowu nie kłamiesz?...

— Znowu?... cóż to znaczy?

Zrobił minę zdziwioną i urażoną zarazem.

Opuściła główkę i przytuliła się do jego piersi, ale oczy miała w nim utkwione, jakby chciała się przekonać, jakie na nim robią wrażenie jej słowa:

— Widzisz, z tym włosiem kobiecym to jakaś nieczysta sprawa... Ty coś ukrywasz, ty nie chciałeś mi powiedzieć prawdy!...

Po twarzy przemknął mu wyraz zniecierpliwienia; pragnął był widocznie skrócić tę rozmowę i uniknąć teraz wyjaśnień, w przedpokoju, na wychodnym, w futrze i kaloszach.

— Ach, ten włos!—roześmiał się niezręcznie,—ciągle jeszcze o nim myślisz?... ten włos... ja ci to wszystko opowiem, ale nie teraz... aż wrócę. Teraz mnie puść, bo mi się śpieszy, bo tam czekają; nie chciałybym się spóźnić.

Przytuliła się do niego coraz bardziej i prosiła:

— Nie, teraz, teraz, ja chcę teraz wiedzieć!... jedno słówko mi powiedz, mój drogi!... Widzisz, mnie to tak trapi od samego obiadu, ja... ja... ja byłam bardzo nieszczęśliwa... z tego powodu. Czyj to włos?... no, powiedz, dla mojego uspokojenia.

— Koniecznie chcesz wiedzieć?...

— Koniecznie.

— A puścisz mnie zaraz?

— Puszcze.

Pomyślał chwilę, potem rzekł szybko:

— Łapeczyńskiej.

— Łapeczyńskiej?... tej z opery, tej starej?...

— Tak.

— Ależ ona perukę nosi.

— A właśnie; stary babsztyl!... byłem u niej dziś w sprawie tego koncertu i z radości wielkiej dała mi fijołki i związała włosiem. A widzisz! a ty myślałaś Bóg wie co złego... No, bywaj zdrowa... wstydź się teraz, żeś mnie posądzała. Dobranoc!... uciekam już, bo po ósmej!...

Ucałował ją na prędce i wybiegł a ona wyszła za nim jeszcze na schody i jakoś trudno jej było uwierzyć temu, bo jej to czegoś na farsę zakrawało, żeby stara primadonna kokietowała w ten sposób jej męża.

Otulona pledem, przechyliła się przez poręcz i patrzyła za nim, jak zbiegał ze schodów, szepejąc pół głosem bez przekonania:

— Łapeczyńska?... Łapeczyńska?...

Nie zdawało jej się to czegoś prawdopodobnym, ale z tą łatwownością serc kochających, które zanim wątpić zaczęła, bronią się same jak najdłużej, powiedziała sobie w końcu:

— Może to i prawda...

Tak pragnęła, aby to prawdą było i aby te wszystkie przypuszczenia i domysły, które ją tyle umęczyły, nie musiały powracać znowu i obsiadać jej zbiedzoną głowę.

Niechby to prawdą było!.. niechby tylko znowu się nie musiała przekonywać, że on kłamie przed nią i że ma ją za tyle naiwną, iż pierwszą lepszą bajeczką oczy jej zamydlić może!..

Nie chciała się już dłużej zresztą zastanawiać nad tem, chociaż ten włos niby to stary Łapeczyńskiej, zwłaszcza z peruki, wydawał jej się ciągle podejrzany, za długi był, za świeży jakiś, za...

Nie,—postanowiła sobie zapomnieć o tem i awierzyć mężowi.

Przecież był czegoś lepszy, czulszy, pociewszy dla niej przed wyjściem z domu; obeszła go to, że siedziała smutna i zmartwiona, próbował ją rozweselić, rozruszać, uspokoić, dobry był, chociaż się tak śpieszył i choć ją samą zostawił w rocznicę ślubu, nie poświęciwszy dla niej wieczoru.

Poszła do salonu, usiadła do fortepianu i zaczęła grać, jak to często robiła w nieobecności Walerka.

Tatus wziął Munię za rękę i w takt macezynej muzyki kręcił się z nim po salonie, drepcząc zabawnie swymi tłustymi nóżkami i potykając się o dywan na podłodze.

Papuga na łańcuszku przypatrywała się im i czyściła sobie dziób o drewniany kabłak, na którym się huśtała.

Dzieci, ilekroć im się nogi zaplątały i upadały na dywan, wołały ze śmiechem:

— Buch!.. — i pocieszenie gramoliły się, pomagając sobie wzajemnie.

Szczebiotu ich, śmiechu, muzyki pełen był salon cały.

Sześć lat temu...

Zaledwie wysnuła nitkę wspomnień o tym samym dniu przed sześciu laty, zadzwieczał dzwonek w przedpokoju i niespodziany jakiś gość zapowiedział swoje przybycie.

Przestała grać i zdziwiona spojrzała ku drzwiom. Wizyta o tej porze?... nie domyślała się nawet, kto by mógł być.

Dzieci wybiegły i po chwili z objawami żywej radości zaczęły witać kogoś dobrze znajomego, wołając:

— Pantofel!.. Pantofel!.. czemu pan Pantofel u nas tak dawno nie był? Mamusiu, Mamusiu, pan Pantofel przyszedł!..

Twarz Wicuni wypogodziła się przyjaznym uśmiechem.

Powstała na powitanie gościa, którego Tatus z Muniem ciągnął już do salonu, z wielką poufałością czepiając się jego rękawów i popielatej marynarki.

Pan Teofil, Pantoflem przez dzieci przezwany, był dalekim kuzynem Grosieckich; matkę Walerka nazywał stryjenką, choć się nigdy dobrze z tego pokrewieństwa wylegitymować nie potrafił. Uważał się jednak za należącego do rodziny a że pociechy był z kośćcami i przywiązany bardzo do całego

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń w Styczniu 1895 r.

domu, więc go chętnie widziano, tem więcej, że była z nim wygodą wielką.

Wszystko umiał, wszystko wiedział, do każdej usługi, choćby najcięższej zawsze był gotów bezinteresownie i potrafił w razie potrzeby równie dobrze samowar nastawić, jak portret zrobić, bo się kiedyś na malarza kształcił, dzieci kołysać, jak na fortepianie zagrać, bo i muzyki się uczył, obrazy na ścianach pozawieszać po przeprowadzce, jak i o teatrze rozprawiać, bo miał passyę chodzić na wszystkie nowe sztuki i był zapalonym amatorem sceny.

Życie zrobiło go wszechstronnym a bieda, z którą się borykać musiał od dziecka nauczyła go radzić sobie o własnych siłach i poprzestawać na tem, co miał, jeżeli miał. Średniego wzrostu, szatyn, o twarzy okrągłej, wygolonej, przyjemnej, ale jakimś wyrazem nieśmiałości i nieufności, zwłaszcza wobec obcych i nieznajomych nacechowanej, miał wiek nieokreślony, coś między trzydzistką a pięćdziesiątką.

Trochę pochyły był, przygarbiony, niepozorny i śmieszny, zwłaszcza gdy nie wiedział, co z rękoma począć i jaką pozę przybrać, stojący.

Uśmiech za to i spojrzenia miał dziwnie łagodne i ujmujące; przebijała się w nich dobra, pocziwa jakaś, pokrzywdzona przez losy dusza, która nie śmiała narzucać się ludziom.

— Ależ to pana kopę lat nie było widać! — powitała go serdecznie Wicunia, wyciągając do niego rękę z uściśkiem. — Cóż się z panem działo?..

Zginał się w pół, kłaniając i po studencku szurał nogami, podczas gdy nerwowym ruchem ręki, zapinał i rozpinął guziki u marynarki a drugą dłonią przyglądał swoje krótko strzyżone włosy.

— Ha, no... prawda, dawno... dawno już nie tego... ale bo nie było mnie w Warszawie, — tłumaczył się głosem przyciszonym, urywając wyrazy, oniesmielony jeszcze i nie oswojony, — trochę wyjeżdżałem; trochę chorowałem... a trochę tego... trochę byłem zajęty, ale już dzisiaj myślę sobie, wstydby było nie pamiętać, więc... tego... proszę przyjąć moje najszczerze...

Pochylił się do ręki Wicuni, którą w obie dłonie ujął i z wielkim szacunkiem, ale i serdecznością do ust przycisnął.

— To pan pamiętał o rocznicy naszego ślubu?... — odezwała się uradowana i wdzięczna mu za tę pamięć — pocziwy pan, jak zawsze, panie Teofilu! —

— Ha, no... tego... jakżeby?... Jakaś się i chrząkał, zmieszany jej pochwałą, upatrząc gdzie krzesła dla siebie, bo siedzący czuł się zaraz pewniejszy i swobodniejszy.

Dzieci, które go lubiły nadzwyczajnie, bo im rozmaite zabawki wymyślał i figielki wyprawiał, powłaziły mu na kolana.

Wicunia zakrzętała się, by go herbatą poczęstować.

Po kwadransie był już rozmowny i opowiadał swoje przygody, kłopoty i wrażenia z ostatnich kilku tygodni.

— Walerka niema? — spytał, — pewnie na operze? chociaż „Carmen“ dziś bez nowej primadonny. Pani Wicunia słyszała już tę Biancę — Bianchi?... podobno świetna!.. Chwała ją ogromnie... Włoszka czy hiszpanka, włosy ma jak heban czarne a długe po same kostki podobno A, rasowa kobieta!..

— Gdzież ją pan widział? — zagađnęła go od niechcienia.

— Dzisiaj widziałem, jak ją — z próby zapewne odprowadzał Walerek w samo południe, — odparł dobroduszenie, — on przecież musi je znać wszystkie, to jego fach.

Wicunia poblądła i poczerwieniała w jednej chwili.

— Brunetka, powiadasz pan? — spytała nagle.

— Ale jaka! — odrzekł, nie domyślając się powodów tej indagacji, — istny kruk, nie kobietal..

Zacięła wargi, aby płaczem nie wybuchnąć.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Mniej ruchu na ulicach, wystawy mniej okazałe, bo minęły święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku, Tu jak wszędzie, sezon dla rękodzielników i kupców zaczyna się w połowie Października i trwa do Stycznia. Najważniejszy zaś moment dla sezonu stanowią święta Bożego Narodzenia. O ile w Paryżu Les etrennes na Nowy Rok mają znaczenie — o tyle w całych Niemczech gwiazdka (*die Bescheerung*) ważną rolę odgrywa. Wystawy sklepowe przybierają niby szaty świąteczne, publiczność zapełnia ulice, każdy dąży gdzie mu się zdaje, że znajdzie coś dla siebie odpowiedniego. Często w pogoni za jaką wyprzedają wydaje się więcej na jazdy, jak zyska na cenie przedmiotu, ale właśnie to dążenie do czegoś, nie jednego wyrwa z zadumy i odrywa od trosk codziennych.

Pani Kallay małżonka ministra finansów państwa, głównie zarządzającego Bośnią i Hercegowiną rok rocznie wysyła dla biednych dzieci Hercegowiny i Bośni pełne kufry robót ręcznych, które wykonywa sama z córkami podczas wieczorów jesiennych.

W Grudniu r. z. wznowiona została sztuka Ibsena „Nora“, pani Odilon (zamężna Girardi) w niemieckim teatrze ludowym Volkstheater grała rolę heroiny.

I znowu łamano sobie głowę nad charakterem Nory. Do czego właściwie dążył Ibsen przedstawiając nam Norę? Utrzymują, że chciał pokazać kobietę bez zasad i znajomości obowiązków społecznych — kobietę przez letkiewicza, jakim był jej ojciec, jak lalka wychowaną. Nie należy się zatem dziwić, że kobieta umiejąca tylko mężczyznę swym szczybotem jak skowronek zabawić, w chwilach krytycznych nie może stanąć na wyżynie swojego powołania.

Wszystkie jej czynności zależą od wpływu chwilowych wrażeń. Łzy i uśmiech na jej licu to niby kolory tęcze, zdołają, ale prędko przemijają.

I taką kobietę Ibsen wybrał, aby na słabe swe barki wzięła ciężar straszny, jakim jest przestępstwo — chociażby ono dla ocalenia jej męża dokonaniem zostało.

Widzimy też jak Nora wywiązuje się ze swego zadania. Postąpiwszy li za popędem serca, bez żadnej rozważki — nie pyta się wcale co z tego wyniknie. A gdy widmo obawy staje przed nią, zażegnawszy wiarą w cud, jaki się stanie. Nie jest to wiara we wszechmocność wyższą, ale miłość zaślepiona — on, mąż jej ukochany, ocali ją niezawodnie.

Gdy wiara w ten cud pod zimną rozważką, pod tonem karności małżonka znika, wtedy Nora od razu z biernej istoty w kobietę pełną samowiedzy się zamienia. Ten, którego kochała, przestaje być jej ideałem, on kochać do zaparcia się nie umie. Więcej u niego znaczący opinia ludzi, jak straszne męki kochającej kobiety, żony własnej. Gdy pożar wybucha ratować należy, a dopiero potem można śledzić powody i winnych ukarać.

Te mądre perswazyje w chwili, gdy przedmiot ukochany cierpi — nie były na miejscu. Biedna Nora, widząc ideał swój — owo bożyszcze cudotwórcze zgruchotane — od razu przecina nie łączącą ją z nim.

Gdy nie kocha więcej — to i pożycie małżeńskie dalej trwać nie może. Tu znowu myśl przewodnia Ibsena staje się widomą.

Brak silnych zasad wychowania w niemiły sposób sztukę zakończa — Nora, owa lalka stając się samodzielną kobietą popada w nową ostateczność — bo zapomina, że łańcuch obowiązku jako matkę przykuwa ją do domu i że dla egoistycznych powodów bez smutnych konsekwencji dla rodziny rozerwanym być nie może.

W teatrze dworskim Burgtheater, szykują się do przedstawienia nowej sztuki Ibsena „Maly Eyołf.“ Ibsen, tak samo jak we wszystkich swoich utworach

wnika w najniższe szczegóły życia małżeńskiego. Pierwsze dwa akta zapowiadają wyższe rozwinięcie sztuki. Widzimy przed sobą młodą i piękną kobietę, która do tego stopnia jest zakochana w swoim mężu, że pała zazdrością o własno dziecko, uważa bowiem małego Eyołfa za uzurpatora części serca małżonka, w którym poprzednio samowładnie pannała.

W rozmowie z mężem, czyni mu gorzkie wyrzuty, że dla jej wdzięków obojętny, a gdy on zwraca jej uwagę na syna, z niecierpliwością odpowiada. „Ja nie chcę być matką, bodajbym go nie zrodziła.“ Dopiero gdy Rita utracą syna — bo nieborak utonął, chcąc pływać jak inni chłopcy, a był kaleką i chodź o kuli, wtedy dopiero odzywa się serce matki i owa próżna niewiasta oddaje się rozpacz, W pierwszych dwóch aktach spodziewamy się widzieć w Alfredzie Alwers ojcu małego Eyołfa, człowieka wyższych pojęć i dążeń, ale i tu jak w *Dzikiej Kacze* charakterzy karleja. Trzeci akt zakrawa na dyalog profesorski o poczuciu smutku; dużo jest w tem prawdy, gdy jest mowa o dobroczynności, ale nienaturalnym się wydaje u ludzi mających udział w samym dramacie — w którym życie wręcz musi.

Gdy rodzice tracą jedynaka, to wszelka rozpacz jest usprawiedliwiona — ale nigdy akademicka filozofia.

Po przedstawieniu Małego Eyołfa w Burgu dalej o tym przedmiocie pomówimy.

Na polu muzycznym w ostatnich czasach sławę i rozgłos pozyskał młody kompozytor *Humperdinck*, do którego nowej opery, libretto napisała *Adelajda Wette*. Opera ta na tle baśni ludowej osnuta p. t. „Jasiek i Małgorzatka“, jest pełna poezji. Nie posilując się tragicznymi środkami jak *iw Santa Lucia*, *Kawalleryi* i *Pagliacci* kompozytor pokazał ile piękna zawierają pieśni ludowe.

Muzyka lubo w duchu Wagnerowskim skomponowana nie zagłusza ale podnosi i przekonywa; co piękne i poetyczne nie potrzebuje jakieśmy to wyżej rzekli — wielkich środków, dla podobania się i zadowolenia umysłu estetycznego.

Śpiewaczki pierwszorzędne Panna Renard w roli Jaśka i panna Mark w roli Małgorzatki zachwycają słuchaczy do tego stopnia — że bilety formalnie zdobywać trzeba.

Wiedeń rozbawiony; — co tydzień parę balów i koncertów na cel dobroczynny. Rączki pięknych Wiedenek bardzo są czynne. Z wiedzą właścicieli otwierają cudze portmonetki i nawet kassy ogniotrwałe. Sumienie jednak im wyrzutów nie robi — bo używają wszelkich forteli, aby przysporzyć funduszu dla nakarmienia zgłodniałych, dla przyodziania nędzarzy i wreszcie dla urządzenia kolonii letnich dla dzieci biedaków.

Dnia 22 bm. odbył się tu koncert Adeliny Patti. Sala koncertowa tutejszego Towarz. Muzycznego była przepelniona. Nie był to koncert, ale bal na intencję sztuki wydany. Adelina Patti była dawniej wielką śpiewaczką, obecnie zaś jest wielką artystką. Sztuka odnosi zwycięstwo nad naturą. Obecnie zachwyca się, podziwiano, ale nie był to zachwyt porywający, tylko oddanie hołdu należnego uznanej wielkości; młodość i wdzięki obok sztuki mają także znaczenie. Lecz za to młodziutki artysta, Warszawianin Hubermann zachwycał do tego stopnia słuchaczy że znawcy i krytycy przyznali mu miano rzeczywistego artysty. Patti jest gwiazdą przeszłości — Hubermann gwiazdą przyszłości.

Prawdziwa emancypacja kobiety,

przez
ELLY HAAG.

(Dokończenie).

Najlepszym wyemancypowaniem się z przesądów tak mężczyzny jak kobiety, jest podniesienie się nad tak zwane życie wedle godności stanu i autorka słusznie na to powstaje; przecież mieści się tu pe-

wien odciń, który szlachetnym jest i dostojnym. Temu, który pochodzi z rodu ludzi zasłużonych społeczeństwu swemu, nie godzi się zapominać, że przyjął wraz z nazwiskiem ojców pewne obowiązki wzniosłe pojętego życia i skoro osunie się w dół istnienia, nie dotrzymując kroku przeszłości, ludzie z konieczności surowiej sądzić go muszą, bo albo odrzucił sceptycznie przykłady górnej enoty przodków, albo słaby i małoduszny sprostać mu nie umiał—nie umiał podnieść się do tego stopnia szlachetności, której tu potrzeba. Nie należy im tylko opierać godności swojej na życiu wystawnem, bo jest to właśnie godność tę poniżającem pojęciem; pieniądze wtedy tylko na moralną korzyść naszą przemawiać może, gdy był przez uczciwą i rozumnie kierowaną pracę zdobyty i jest zeń odpowiednio do obowiązków naszych czyniony użytek. Wyraz „dobrekiewicz“, bywa zwykle używany w sensie poniżającym, co przecież nietylko na starych przesądach się opiera, bo często, często bardzo ludzie stawiający przed sobą zebranie grosza jako cel, zapominają o wyższych, szlachetniejszych ideałach i zadaniach człowieka wśród ludzkości.

Kto przecież nie poniżając swej godności moralnej majątku się dorobił, kto nietylko ręki po cudzą własność nigdy nie wyciągnął, ale nie skupiał tak grosza do grosza, aby nie z jego zarobku nie przyłożyło się do podniesienia dobrobytu ogółu, do oświecenia ciemnych, do podparcia słabych, udzielenia pomocy dobrze zasłużonym, ma prawo do takiego szacunku, jaki przyznano ewangelicznie dobremu bogaczowi, bo z jego umiejętności i pracowicie zebranej fortuny korzystają ci, którzy jak Magdalena za śladem Chrystusa idąca, nie mieli czasu grosza skupiać. Każda matka, która ze względu na przyszłość dzieci usiłuje zapas jakiś tego grosza złożyć, każda żona, która pragnie przez staranną oszczędność ulżyć pracy męża, jest przecież razem dobrą i rozsądną, kochającą nie przez słowa, ale czyny. Staje się też to w niej emancypacją najdoskonalszą, bo podnosi się nad tę słabość płci swojej, która często nie umie panować nad sobą i w obec przyjemności jakiejś, pożądaną zabawy wesołej, równowagę traci, z czego przecież praca leczy najlepiej, najpewniej. Kto pracując na chleb, na grosz koniecznie potrzebny, ważność tego zrozumie, już na bezmyślne używanie go nie roztrwoni a poważniejszym się stając w poglądach swych na życie, wyższą dostojnością ducha się obsiewa, za czem idzie w naturalnym życia porządku i głębsze zastanowienie się nad życia tego przeznaczeniem, które nie opiera już szczęścia na tem, co daje przemijające, chwilowe zadowolenie. Wyemancypowanie się z pożądaną przyjemności przelotnych jest gruntem tak rzeczywistego, prawdziwego szczęścia, jak i podstawa rozumnego użytku ze zdolności swoich, które wypromieniając się w dziełach życia uczciwych, czynią człowieka tak w głębi jego własnej szczęśliwym, jak i zasłużonym społeczeństwu, więc szanowanym i dającym z siebie przykład dobry.

Czy tak być może, gdy kobieta łamiąc naturalne prawa podziału pracy chce rywalizować z mężczyzną i zajmować te jego miejsce, które na podstawie sił i skłonności jego wrodzonych przypadło mu w rozwoju cywilizacji? Wyemancypowana z zadań życia niewieściego i prac w rodzinie, walcząca o byt na polu nowem dla niej, a przecież bynajmniej nie pustem, staje się nieraz ciężko nieszczęśliwą, bo jak samotne drzewo w pustyni nie należy do nikogo, nikogo też nie ma by jej żyć pomagał, więc zdolność kochania zwolna w niej zanika, serce wyziębłe nie umie już kochać i czerpać z tego ożywczego źródła pociech i uciech słodkich. Ella Haag dodaje surowo, że spada tu na nią i wina za drugie serce ludzkie, szczęścia też pozbawione, bo ten mężczyzna, który ukochał by kobietę tkliwą i słodką, stworzoną na małżonkę i matkę, a którego nie była zdolną przywiązać do siebie ostra, wyniosła mężycę, pozostał też samotnym, z naturalnego biegu życia wykolejonym.

Są przecież i inne jeszcze przyczyny, dla których kobiety o sile własnej iść muszą przez życie. Są wdowy, których serce już raz drugi kochać nie może, są na chleb pracujące sieroty, którym nie była daną sposobność, aby ktoś poznał je bliżej i ukochał, więc muszą szukać sobie tak środków do utrzymania życia, jak i zapełnienia go, aby pustem, bo-

leśnie smutnem nie było, wtedy też kobieta zwraca się do pracy samodzielnej i z postępem czasu uczynają się wytwarzać nowe zawody pracy, w których ona udział wzięść może z korzyścią dla społeczeństwa a zapewnieniem sobie spokojnie pracowitego istnienia. Kobieta lekarz zajmuje tu miejsce wybitne, bo gdy osiada na wsiach, lub w miasteczkach małych, staje się opatrnością tej ludności, która żadnych pojęć o higienie, o ratunkowych środkach życia nie ma.

Zasług nauczycielki nie potrzeba już przypominać ludziom, bo uznają je wszyscy; sztuka otworzyła też kobiecie podwoje przybytków swoich szerzej niżeli to było dawniej, i niech tylko oświecona, społeczne interesa ludzkości prawdziwie do serca biorąca, myśli głęboko, nikt jej uważać nie będzie za niższą duchem i pośledniejszą od mężczyzny istotę. Przecież kobieta sama może tego jedynie dokonać, zwłaszcza kobieta wychowawczyni, bo wtedy gdy matka wykształci tak umysł, jak serce córki, aby wiedziała na czem polega prawdziwa godność istoty ludzkiej, już córka ta nie będzie pogardzać zadaniami niewieściego życia i pojmująca ich znaczenie spełniać je będzie jako obowiązek, przez prawo moralne jej nakazany. Wychowanie może jedynie tego dokonać, bo gdy kobieta pozna o zaraniu życia ważność, obowiązku więc wartość pracy jaką ma spełniać, nigdy już uważać jej nie będzie jako niską i za mało dostojną dla wykształconej i duchem podnioślejszej istoty.

Kto z wyższego punktu widzenia patrzy na życie, widzi przedewszystkiem rezultaty rzeczy i według jego znaczenia cenę wartości im nadaje. Ella Haag tak właśnie w dziełku swoim czyni: wykazuje ważność tego, co kobieta, jako taka, spełnia w ludzkości przez rodzinę, której przewodniczy w tych chwilach właśnie, w których urabiają się moralne kształty człowieka przez odpowiednie skierowywanie jego skłonności, jego zasobów umysłowych. Wprawdzie świat otoczy potem syna tej troskliwej matki tysiącem wpływów złych, lub dobrych, zawsze przecież wychowanie pierwotne mieć tu musi takie znaczenie swoje, jakie posiada fundament w stosunku do gmachu, który potem zbuduje się na nim. Dla córki potęguje się to jeszcze, bo wpływ wychowania dziecka utrwała się w dziewczycy i idąc potem za nią w życie, oddziaływa na pokolenie, którego matką się staje.

Prawdziwa emancypacja kobiety to podniesienie się po nad miękkość, często w jej naturze leżącą, czego przecież pozbyć się ona może, jeżeli nauczy się pracować poważnie, bo wyrobi to w niej hart i siłę, jaką szczytują się emancypantki. Ta równość kobiety z mężczyzną, o którą się tu toczy walka, niech na tej podstawie grunt sobie obierze, aby rozumna poznała ważność przeznaczenia swego wśród ludzkości—znaczenia swego jako kobiety i matki, która wychowuje dziecko, żony która jest towarzyszką życia mężczyzny, połowicą jego.

M. I.

Kronika działalności kobiecej.

— Uorganizowanie w Petersburgu wyższych kursów medycznych dla kobiet już się staje czynem. O otwarciu tych kursów wnoszono już liczne petycje do ziemstw; znaczna też liczba kobiet nadesłała listy zapytaniem, kiedy mianowicie to nastąpi, oraz jakie będą warunki, pozwalające słuchaczkom uczęszczać na wykłady i czy wolne słuchaczki mieszczą tu znajdują?

— Nauka wyrobów mlecznych, to jest masła i serów, rozpocznie się wkrótce w różnych miejscowościach cesarstwa. Ministerium rolnictwa wprowadziło z Danii sześciu specjalistów w tym zawodzie, których zadaniem jest nauczać osoby, pragnące się poznać dokładnie z tą gałęzią domowego przemysłu, obok tego kształcić się tu będą

nauczycielki, które mogłyby rozszerzać te wiadomości w odległych od miast miejscowościach. Pensya nauczycieli jest 600 rs. rocznie obok zwrotu kosztów podróży, nauczycielki zapewne otrzymywać będą także uposażenie.

— P. Kaźmiera z Zarzyckich Piątkowska otworzyła szkołę freblowską na Podwalu, Nr 22. Poświęcenia lokalu dokonał ks. Leopold Łyszkowski.

— Na posiedzeniu zarządu szwalni 1-ej przy ulicy Starej, odbytem pod przewodnictwem hr. Maryi Wandy Ronikierowej, opiekunki wzruszone widokiem czterystu pracowitych i dobrze dla przyszłości swej kształcących się dziewcząt, postanowiły utworzyć komitet z celem założenia filii tego zakładu na wsi, zapraszając na wice prezesową księżną Radziwiłłową, która złożyła zaraz na kosztą tej nowej instytucji 300 rs. Dołożyła tu hr. z Czapskich Przedziecka także 300 rs., jak również i baronowa Zachertowa, p. Ostrowska 200 rs. Obok tego p. Skiwska przyrzekła ofiarę 500 rs. na kupno kolonii, Maksymilianowa Małachowska obiecała przyczynić się do wzniesienia domu mieszkalnego przez dar w materiałach budowlanych. Słabowite dziewczynki uczyć się tu będą gospodarstwa wiejskiego.

— Na ostatniem zebraniu Tow. Jedwabniczego postanowiono zaprosić na członka korespondenta p. Helenę Wilską z Moszczenicy, wytrwałą i umiejętną hodowczynią jedwabników, usiłującą zarazem rozszerzyć pomiędzy ziemiankami naszymi ten korzystny przemysł domowy.

— P. Marya ze Skirmuntów Twardowska przelożyła z języka niemieckiego niedużą broszurę „Oszczędność“ zawierającą wiele popularnie skreślonych rad, uwag i wskazówek, jak praktykować nam należy cnotę oszczędności, a zarazem przedstawiając smutne skutki rozrzutności. Obok tego przedstawionym tu jest stan ludzi nieoszczędnych, ich troski w chwilach braków a nieraz i upadku moralnego, skoro potrzeba naciska. Książeczka kończy się radą: „Módl się i oszczędzaj...“

— P. Walerya Marrené Moszkowska podniosła w „Kuryerze Warszawskim“ szlachetnie uczciwą myśl urządzenia przytułku dla służących. Przytaczając z francuzkiego języka zaczerpnięte zdanie słuszne, że u dobrych panów dobre są służki, wykazuje wszystkie ciężkie i trudne koleje życia tych zwłaszcza dziewcząt wiejskich, które przybywają do miasta, pracy szukając. Wyrwane z otoczenia swego i tradycyi, które stały im na straży, postawione w warunkach nowej, więc trudnej dla nich pracy, nie umieją spełniać jej dobrze i ganione są za to; więc łatwo zniechęcić się mogące, są obok tego narażone na złe przykłady i nierzadko też im ulegają, a najczęściej nie prawie nie zaoszczędzają na starość, która też tylko wyjątkowo może być przez pracodawców zabezpieczoną.

— Model medalionów Szopena odtwarzanych u nas obecnie z masy papierowej, wykonany był w Paryżu przez pannę Joannę Grzełińską i na ostatniej tam wystawie plastycznej przyznany jej za stał za dzieło to list pochwalny.

— Prawny fakultet uniwersytetu w Zurychu przyznał drugiej już kobiecie tytuł doktora prawa, a uczoną tą prawniczką jest Anna Makenroth z Gdańska. Treścią rozprawy na doktorat był przyczynek do historii handlu i wolności rzemiosł.

— Czeska pani, Czerwinka Rygier, córka dostojnego przewodcy partii Staroczechów, Władysława Riegera, zasłużona na polu ojczyźnej swej literatury, umarła w Pradze, zostawiając przecież po sobie wiele rzeczy cennych: a między tem piękne libretta do oper Dworzaka, do zasług zmarłej należy, że jej staraniem i pod jej kierunkiem wydane zostały pamiętniki jej ojca, zawierające wiele faktów ważnych dla współczesnej historii Czech.

— Józefa Daffis, zakonnica francuzka, należąca do zgromadzenia siostr S-go Józefa, umarła w Tunisie, w Suzie, bardzo już sędziwa, bo liczyła 84 lat. Za bohaterskie poświęcenie się dla dobra tak ziomków, jak tych ludów, które uczyła wiary i cnot chrześcijańskich, ozdobioną została krzyżem Legii honorowej i orderem tunetańskim Nicham—Iftikar. Pogrzeb jej odbył się z honorami wojskowemi; muzyka wojskowa postępowała przodem, oddział żoł-

nierzy towarzyszył konduktowi; po przemowie kapelana gdy składano trumnę do ziemi nad grobem wśród niezliczonego tłumu ludzi przemawiał pułkownik i prezydent gminy, a dzień był upalny i gdy zaraz po złożeniu zwłok w ziemię spadł deszcz rzęsy, bardzo potrzebny dla ziemiopłodów, Arabowie uważali to za uproszoną przez ducha zmarłej łaskę Boga.

— Blanka Willis Howard, literatka angielska miała w Londynie odczyt: „Co to jest heroizm? Heroizm to poświęcenie istoty własnej dla wyższych celów dobra i piękna moralnego, czy przeciw musi tu być przedmiotem jakiś rzecz wielka, jakaś rzecz niepospolita? Nie... odpowiadała prelegentka—heroizmem jest wszelkie zaparcie się siebie dla dobra bliźnich naszych, dla idei życia wzniosłej i apostołstwo cnoty takiej, która podnosząc nam ducha w piersi uczy się odwagi i wytwarza siły, pozwalające spełniać doskonale obowiązki swoje. Bohaterką jest ta matka uboga, która pracuje od rana do nocy, aby dzieci jej miały ten dobrobyt, który pozwala im wyrastać zdrowo i wzmacniać się w siły potrzebne do pracy przyszłej. Jest bohaterką żona, która nie chce, aby mąż dźwigał ciężary zbyt wielkie dla utrzymania rodziny i wyrzeka się własnowolnie tych przyjemności, uciech życia, które by inaczej osiągnąć mogła. Są w nas namiętności, są żądze i opanować je, to bohaterstwo nieraz może większe niż zdobycz na polu walki sztandaru przeciwnika. Kto umie panować nad namiętnościami swemi, już się w tej walce z nimi do bohaterstwa podnosi i wyrabia w sobie taką dzielność mężną, która stanie mu się podporą w chwilach owych walk życiowych, które każdy z nas mniej więcej przechodzi i podkład to jest, na którym wznieść się może jedynie wielki czyn heroizmu, zapisany na karcie dziejów narodu, ludzkości. Na takiej to podstawie woli silnej, wyrwalności mężnej gruntuje się dopiero heroizm, który spełnia czyny wielkie. Miss Howard nazwała podstawą wszelkiego heroizmu siłę woli i zatłumienie w sobie egoizmu.

— M-rs Karolina Hobson wygłosiła drugi z kolei odczyt o potrzebie stowarzyszenia nauczycielek, które by wydawało tygodnik poświęcony pracom tak metod nauczania, jak i umiejętności obchodzenia się z dziećmi. Trzeba najpierw zbadać tu skłonności dziecka a obok tego jego zdolności umysłowe, aby wiedzieć, czego można żądać od młodej istoty i jakimi sposobami trafić do jej umysłu i serca. M-rs Hobson była nauczycielką przez lat dwanaście i doświadczenie nauczyło ją, że nie ma dziecka odpornego na wpływy wychowawcze, jeżeli wychowanie będzie prowadzone dobrze. Trzeba w dziecku zatłumiać wady przez rozwijanie odnośnych przymiotów i nie nie łamiąc siłą przymusu, zdobywać najpierw pociągającą siłą przykładu, a następnie wykazywaniem korzyści, jakie się łączą z dobrocią serca, z miłością bliźniego. Egoista staje się przez to codziennie gorszym, że nie zyskując sobie serc ludzkich, zaczyna się coraz silniej w egoizmie swoim. Działać na egoistę siłą czynów miłości bliźniego, to leczyć go z wad samolubnego zamknięcia się w sobie.

Z bieżącej chwili.

— Petersburska Rada rolnicza wygłosiła zdanie, że szkoły ludowe rozszerzać mogą wykształcenie rolnicze bez wykładów teorii, a tylko za pośrednictwem praktycznej działalności nauczyciela, któryby

był odpowiednio obznajmiony z przedmiotem. Z tego względu należy wyznaczyć każdej szkole odpowiedni kawałek gruntu i zaopatrzyć ją w fundusze, pozwalające prowadzić samodzielne gospodarstwo doświadczalne.

— Ministerium rolnictwa organizuje w uniwersytetach katedry, mające związek z agronomią. Obok tego proponowaną jest reforma niższych szkół rolnictwa, oraz odczyty popularne w tym przedmiocie i zaprowadzenie prawidłowej kontroli nad działalnością zakładów rolniczych.

— Według sprawozdania, ogłoszonego przez departament górnictwa, wyprodukowano w Rosyi 70,500,000 pudów żelaza. Kopalnie miedzi znajdują się jedynie w niektórych miejscowościach Kaukazu i Uralu; produkuje ich przedstawia tylko 331,700 pudów. Pokłady rudy srebrnej odkryto w okolicach Sachumu. Analiza chemiczna wykazała bogate rezultaty; ruda zawiera znaczny procent srebra, eksploatacyą ma się zająć wkrótce spółka miejscowych kapitalistów.

— Rozbiór wody wiślanej, zaczerpniętej ze smoka wodociągowego, zawierał w jednym centymetrze sześciennym 700 bakterii. Woda filtrowana, świeżo wprowadzona do basenów osadowych, mieściła w takimże centymetrze 1,000 bakterii. Woda filtrowana zaczerpnięta z filtru, działającego od d. 20 zeszłego miesiąca, zawierała w jednym centymetrze dziesięć bakterii; woda filtrowana z kranu wodociągowego w laboratorium przy ulicy Bednarskiej 20 bakterii. Bakterii chorobotwórczej nie znaleziono wcale.

— Przed dwunastą laty wzniesiony na Koszykach kościół Ś-go Piotra i Pawła zdawał się obok kościółka Ś-jej Barbary dostatecznie obszernym dla miejscowych parafian, przecież po upływie niecałych lat dziesięciu kościół pokazał się o tyle za małym, że połowa osób, pragnących się tam pomodlić, już się do świątyni dostać nie może. Parafia Koszyki wymaga koniecznie drugiego kościoła i gdyby, jak piszą dzienniki, znalazł się ofiarodawca placu pod budowę, składki dostarczyły by potrzebnych tu funduszy.

— Kassa Pożyczkowa przemysłowców warszawskich obchodzić będzie wkrótce dwudziesto pięcioletnie istnienia; członek zarządu, a zarazem jeden z sześciu założycieli Kassy, p. Aleksander Feist, żąda takiego obchodu jubileuszowego, aby mógł wziąć tu udział najliczniejszy zastęp rzemieślników, dla których użytku Kassa przeważnie istnieje, co by wykazało, że dotychczas niedostatecznym był ich przystęp do wewnętrznej działalności instytucji, więc nie znając dostatecznie jej warunków, szukają nieraz kredytu postronnie, z niekorzyścią dla siebie. P. Feist wykazał że Kassa otwierając się przed 25 laty nie posiadała ani szeląga własnego, obecnie fundusz jej zasobowy liczy 250,000 rs. P. Feist radzi aby utworzyć z tego kapitału fundusz pamiątkowy ze znaczeniem praktycznym, uważając że było by rzeczą najlepszą, aby odliczyć z tej sumy kapitał, z którego odsetków udzielano by zasiłków młodzieży rzemieślniczej, na wyjazd za granicę dla doskonalszego kształcenia się w swoim zawodzie. Projekt został przyjętym przychylnie i postanowiono odliczać corocznie na ten cel 1,000 rs., do rozdzielenia pomiędzy czeladników, pragnących odbyć podróż, na którą wyjeżdżający otrzymał by jednorazowego zasiłku 100 rs.

— Na wystawę stałą Tow. Sztuk Pięknych przybył obraz dużych rozmiarów Józefa Chełmońskiego „Poranek.“ Nadszedł też egzemplarz próbny reprodukcji z akwarelli I. Kossaka. „Spotkanie Chmielnickiego z Tuhay Bejem,“ przeznaczony jak już donosiliśmy poprzednio na premium dla człon-

ków Towarzystwa. Reprodukcya posiada wszystkie potrzebne zalety artystyczne.

— Malarze nasi naradzają się nad sposobem jubileuszowego uczczenia czterech najstarszych malarzy warszawskich. Upamiętni ten dzień uczta, zgromadzająca u jednego stołu wszystkich warszawskich mistrzów pendzla.

— Juliusz Fałat, malarz wyższego natchnienia, przyjął proponowaną sobie posadę dyrektora krakowskiej szkoły sztuk pięknych. Nominaacya urzędowa, zostanie wkrótce ogłoszona. Na ostatniem posiedzeniu wydziału filologicznego krakowskiej Akademii umiejętności prof. K. Morawski wyłożył treść rozprawy D-r Michała Jezienieckiego „O rękopiśmie biblioteki uniwersyteckiej we Wrocławiu z 1515 r.“ Mieści się tu pomiędzy wielu innymi pismami humanistów szląskich, niemieckich i włoskich, wiele nieznanych wierszy naszego humanisty z XVI wieku, Pawła z Krosny. Krytycznych opracowanie złożone zostało jednocześnie Akademii, której uczniem, jak przypuścić można, był ów Paweł z Krosna, a który następnie zajmował tam katedrę w 1507, do 1516 r. Za wnioskiem tym przemawia znaczna liczba jego utworów, które się w rękopiśmie wrocławskim znajdują.

— Na posiedzeniu deputowanych w Wiedniu D-r Roszkowski podjął sprawę zniesienia kary śmierci, wyłuszczając przecież, że nie przemawia w imieniu Koła Galicyjskiego, ale sam od siebie. Wykazywał on wymownie iż prąd pragnący zniesienia tej kary objawia się w całej Europie. Już Guizot dowodził, iż kara śmierci już misją swoją w rozwoju cywilizacji spełniła, gdy zastępowała jako wymiar sprawiedliwości publicznej zemstę osobistą. Kara ta nie odstraszy nikogo od złego czynu, nienawiści lub zemsty osobistej, a duch dzisiejszej cywilizacji już się temu przeciwstawia.

— Władysław Mickiewicz zamierza odświeżyć i objaśnić dzisiejszemu pokoleniu francuzów odczyty ojca w rozprawie drukowanej w Paryżu. Są one jeszcze wysoko tu cenione przez wszystkie poważniejsze umysły i praca syna zapewne będzie przyjęta dobrze przez ogół poważniejszy.

— W Paryżkiej Akademii nauk społecznych prof. Auerbach z Nancy wygłosił odczyt o stosunkach nowych pod panowaniem pruskim. Prelegent przedstawił dzieje kulturkampfu, politykę i działalność Bismarka, charakteryzując człowieka i mowę przez wygłaszane przez niego mowy sejmowe w d. 28 i 30 stycznia 1886 r., wykazując w świetle cywilizacji nowoczesnej mowę i człowieka. Odczyt ten ukaże się wkrótce w druku, zamieszczony w najbliższym zeszycie rocznika Francuzkiej Akademii nauk społecznych.

— Dziennikarz wiedeński, Zygmunt B., przełożył na język niemiecki dramat Daniela Zglińskiego „Jakób Warnka“ odznaczony na konkursie „Kuryera Warszawskiego.“

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Rubikon**, przez E. F. Benson. Przekład z angielskiego ark. 9.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ??—W pomroce, przez Selima.—Działalność kobiety pod względem etycznym, przez E. F. (dokończenie). Bluszcz, obrazek z życia rodziny, przez Maryana Gawalewicza (dalszy ciąg).—Korespondencya zagraniczna.—Prawdziwa emancypacya kobiety, przez Elly Haag.—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.
Dodatek obejmuje: **Rubikon**, powieść przez E. F. Benson, przekład z angielskiego arkusz 9.—Przegląd mód. 23 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.